

Jan Rokita: Rzeczpospolita Resortowa

Polska jest znów Rzeczpospolitą Resortową, w której branży, resorty, służby i inspektoraty prowadzą wobec siebie nawzajem rywalizacyjną, niemal Hobbesowską „politykę zagraniczną” – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Przypadek śniętych ryb na Odrze jest fascynującym kazusem dla każdego, kogo na serio zajmuje problem ustroju i rządu. Liczni politycy i publicyści, starający się przeprowadzić jakieś uogólnienie tego przypadku i wyprowadzić zeń wnioski (nazwijmy je tak) „państwowe”, mają trafną intuicję, iż ów przypadek odsłonił naraz zdumiewająco liczne kłopoty ustrojowe i instytucjonalne Rzeczypospolitej. Niestety, mimo tej trafnej intuicji, albo mówią na sposób ściśle partyjny, czyli przy okazji śniętych ryb chcą coś ugrać dla swojej partyjnej drużyny; albo też brak im praktycznej wiedzy o instytucjonalnym internum rządu, zaś presja czasu każe im formułować ostre konkluzje w pośpiechu, niemal natychmiast. Najciekawsza i najbardziej wnikliwa próba takiego „państwowego” uogólnienia, jaką miałem okazję przeczytać w ciągu ostatnich dni – to krótka analiza Marcina Kędzierskiego, zamieszczona na portalu Klubu Jagiellońskiego. Kędzierski celnie opisuje to, co z całą mocą ujawniły tzw. „maile Dworczyka”, a co dobitnie znalazło swoje potwierdzenie przy okazji śniętych ryb: dziwaczny, kompletnie apartydowy, ponoć wzorowany na biznesie (???) mechanizm prowadzenia spraw państwa przez ekipę Morawieckiego.

Jednak nawet Kędzierski myli się, gdy rozważa zaniedbania wojewodów z nadodrzańskich regionów, w toku zarządzania w pierwszej fazie kryzysu tzw. „administracją zespoloną” (której częścią miałyby być Inspekcja Ochrony Środowiska). Źródłem owej pomyłki jest to, iż autor bierze za rzeczywistość zaplanowany w 1997 roku model ustrojowy polskiego województwa, oparty o kardynalną ideę terytorialnego zespolenia w urzędzie wojewody wszystkich służb stojących na straży przestrzegania prawa. Tymczasem od wielu lat jest już tak, że większość owych służb (wśród nich także inspekcja ekologiczna) wyrwały się z owego zespolenia, odtwarzając neo-komunistyczne, scentralizowane administracje specjalne. Kto wie zresztą, czy nie największe przekleństwo całej polskiej administracji. Gdyby w Polsce istniała na serio terytorialna władza ogólna, odpowiedzialna za rządzenie w kryzysie i egzekucję wszelkich praw, to wojewodowie byliby teraz, w toku kryzysu śniętych ryb, głównymi winowajcami. Ale nie są. Bo Polska, tak jak zresztą chcieli tego politycy PiS, (a Platforma miała to w wielkim poważaniu) jest znów Rzeczpospolitą Resortową, w której branży, resorty, służby i inspektoraty prowadzą wobec siebie nawzajem rywalizacyjną, niemal Hobbesowską „politykę zagraniczną”. Wojewoda nazywa się co prawda zwierzchnikiem administracji zespolonej, ale w polskich warunkach jest to niemal kompletna fikcja.

Prawdę mówiąc, kazuś śniętych ryb, jest ustrojowo tak ciekawy, że zasługuje na powołanie porządnej i niezależnej komisji, która sporządziłaby nie tyle wnioski w samej kwestii Odry, ale w sprawie ustroju państwa. Mógłby to stać się materiał pasjonujący dla przyszłych rządzących, na miarę sławnego „Raportu Trzech” z 1926 roku, którego głównym autorem był stary już wówczas polityczny emeryt, niegdysiejszy namiestnik Michał Bobrzyński. Pośród materii ustrojowych, odsłoniętych przez śnięte ryby, mnie szczególnie

*Polska jest znów
Rzeczpospolitą Resortową, w
której branże, resorty, służby i
inspektoraty prowadzą wobec
siebie nawzajem
rywalizacyjną, niemal
Hobbesowską „politykę
zagraniczną”*

zainteresowała (a
prawdę mówiąc, po
trosze zdumiała)
sprawa obiegu
kluczowych
informacji w
państwie. A to
przede wszystkim
dlatego, iż premier
Morawiecki
publicznie poskarżył
się na szefów dwóch
scentralizowanych

instytucji – Inspekcji Ochrony Środowiska i owego dziwnego
czebola, jakim są wymyślone nie tak dawno „Wody Polskie”, że w ciągu
przeszło dwóch tygodni eskalującego się kryzysu na Odrze nie
powiadomili go o sprawie. „Więc dowiedziałem się dopiero 10 sierpnia”
– mówi premier i dla przykładu wylewa z roboty obu prezesów. W
polskiej praktyce rządzenia niezwykle rzadko szef rządu tłumaczy się
całkowitym brakiem wiedzy o rozwijającym się kryzysie, bo też –
prawdę mówiąc – jest to tłumaczenie kompromitujące.

I tu właśnie pojawia się problem wąskiej, fachowej wiedzy o
mechanizmach rządzenia, której brak u swych słuchaczy całkiem
słusznie zakłada premier. Sprawa prosta: mieli zawiadomić, a nie
zawiadomili, więc zaniedbali, albo zlekceważyli obowiązki. Recz jednak
w tym, że zgodnie z całkiem rozsądnym ładem instytucjonalnym
państwa polskiego, to premier powinien o katastrofie ekologicznej
dowiedzieć się wcześniej od wszystkich innych, to znaczy zarówno
wcześniej od gazet i telewizji, jak i od prezesów różnych centralnych
służb. Najpóźniej powinien poznać sprawę o świcie dnia następnego,

po tym jak śnięte ryby w Odrze się pojawiły. Skąd premier miał się o tym dowiedzieć? Z porannego briefingu, jaki od swojej kancelarii otrzymuje szef rządu każdego jako tako przyzwoicie rządzonego państwa. Ów briefing, tak przynajmniej ja go pamiętam (bo przez jakiś czas sam go dla premiera robiłem) na pierwszej stronie powinien zawierać wszelkie kryzysowe informacje z kraju i zagranicy. Bo to właśnie te informacje mogą wpłynąć nie tylko na dalsze decyzje szefa rządu, ale także na ostateczne ułożenie jego dziennego kalendarza. Kryzysy w takim kalendarzu z natury rzeczy mają przecież pierwszeństwo.

Kazus śniętych ryb, jest ustrojowo tak ciekawy, że zasługuje na powołanie porządnej i niezależnej komisji, która sporządziłaby nie tyle wnioski w samej kwestii Odry, ale w sprawie ustroju państwa

W dawnych 90 latach, które tu wspomniałem, było tak, że premier miał pół piętra pod swoim gabinetem Biuro Informacyjne, pracujące 24 godziny na dobę i zestawiające cały czas wiedzę o faktach, napływającą

z Polski i z zagranicy, w tym także ze służb wywiadowczych. Zaś piętro nad gabinetem miał z kolei Biuro Operacyjne, także pracujące 24 godziny na dobę, które na bieżąco dostawało wszelkie, nawet najdrobniejsze komunikaty kryzysowe od służb wojewodów, działających także całą noc. Przed ósmą rano premier wiedział o każdej śniętej rybie w każdej polskiej rzece, jak również znał nocny przebieg każdej wojny dziejącej się na świecie. Wszystko w ścisłym skrócie i skrajnej syntezie, tak by sam mógł decydować, co dla jego polityki jest

ważne, a co może danego dnia odpuścić. Jeśli trzeba było postawić na nogi jakieś służby centralne, albo terenowe, to na rozkaz szefa rządu czyniła to zaraz po porannym briefingu premierowską kancelaria, która naonczas zwała się URM-em. Powtórzmy: impuls takich decyzji szedł zawsze od premiera do administracji, a nigdy odwrotnie. Bo decyzja o zarządzaniu kryzysowym jest zawsze decyzją o dużej randze politycznej.

Dlaczego skarga Morawieckiego, iż: „nikt mi przez dwa tygodnie nic nie powiedział”, najpierw mnie strasznie rozśmieszyła, a po chwili na serio zatroskała? Bo dotąd żyłem w przekonaniu, że od lat 90 ów obieg kluczowych informacji w państwie został usprawniony i profesjonalizowany. A tu nagle się dowiaduję się, że co do informacji o poważnym kryzysie premier czekał na telefon, albo może na mail, od jakiegoś prezesa! W 2007 roku poprzednik Morawieckiego – premier Kaczyński doprowadził przecież do ustawowego utworzenia w swojej kancelarii Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. A ze stron rządowych <gov.pl> możemy się jeszcze dziś dowiedzieć, iż misją Centrum jest: „sprawny przepływ informacji między organami i strukturami odpowiedzialnymi za zarządzanie kryzysowe, który ma służyć przede wszystkim przeciwdziałaniu sytuacjom kryzysowym”. To co dalej się pisze na tych stronach jest niczym miód na serce każdego państwowca: „Centrum zostało stworzone jako struktura ponadresortowa, której celem jest zoptymalizowanie i ujednoczenie postrzegania zagrożeń przez poszczególne resorty, a tym samym podwyższenie stopnia zdolności radzenia sobie z trudnymi sytuacjami”. Jasno z tego wynika, że centrum wymyślono właśnie dlatego, aby zwalczyć patologiczną resortowość, co najmniej w dziedzinie zarządzania kryzysowego! A więc to premier, jako najwyższa władza zespolona, miał dowiadywać się pierwszy o każdym kryzysie i decydować ponad głowami bijących się ze sobą służb, inspekcji, „Wód Polskich” i innych takich.

I tu właśnie nasza mnie myśl przykra i ponura. Odezwała się pamięć czegoś, co wysłuchałem raptem dwa miesiące temu, 14 czerwca, z ust polityka, którego rząd stworzył owo Centrum przy premierze. Tamtego dnia Jarosław Kaczyński, jako odchodzący wicepremier, prezentował swój testament w postaci projektu prawa o ochronie ludności. Zapowiedział wówczas... likwidację Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, ale to co zrobiło na mnie największe wrażenie, to argumentacja wicepremiera. Powiedział: „*obecna sytuacja zakłóca trochę porządek w państwie, który związany jest z podziałem na resorty i obowiązkami poszczególnych resortów*”. W 2007 roku premier Kaczyński tworzył Centrum, do dziś dnia chlubiące się na rządowych stronach tym właśnie, że zostało stworzone, aby złamać i przewyciężyć resortowość, uniemożliwiającą sprawne zarządzenie kryzysami. Piętnaście lat później wicepremier Kaczyński uznaje tamtą decyzję za „zakłócenie resortowego porządku w państwie”. Prawdę mówiąc, trudno o bardziej nonsensowną i szkodliwą dla państwa zmianę poglądów. Ale jak sobie to przypomniałem, to natychmiast też zrozumiałem głębokie przyczyny nieszczęsnej skargi Morawieckiego, iż przez dwa tygodnie „nikt mu nic nie powiedział”. Każdemu, kto miał cokolwiek do czynienia z administracją, łatwo wyobrazić sobie, co zaczęło się dziać w Centrum po konferencji prasowej 14 czerwca. Bez cienia ironii mogę założyć, że nawet gdyby rosyjskie pociski zaczęły spadać na Polskę, to Morawiecki dowiedziałby się o tym dopiero wówczas, gdyby ktoś do niego zadzwonił, albo wysłał mu mail, zapewne zresztą na prywatną skrzynkę.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

